



Humoreska pt.: "Moja przygoda"
wg opowiadania Wiktora Klimowicza

O s o b y : Wołodia
Jego kolega Piotr

*Jesiewski
Kowalewski*

+ + +

PIOTR: - Wołodia, czemuś dzisiaj taki markotny?

WOŁODIA:- Bo miałem wczoraj niemłą przygodę...

PIOTR: - No... co takiego?!

WOŁODIA:- Wiesz, że ze wszystkimi staram się być w dobrych stosunkach?

PIOTR: - Jasne...

WOŁODIA:- Wiesz, że szef mnie ceni, że żona mnie szanuje?

PIOTR: - Wiadomo!

WOŁODIA:- A powiem ci jeszcze i to, że ani razu nie "orznięto" mnie w "Delikatesach", gdzie robię sprawunki, ponieważ kierownikiem działu wyrobów mięsnych jest tam mój szkolny kolega.

PIOTR: - Ale co to ma do rzeczy?

WOŁODIA:- Nic - chciałem tylko podkreślić, że szafa gra! Tylko do taksówkarzy nie mam, psia kość, szczęścia. Nie chcą mnie wozić i basta... I właśnie z powodu taksówki spotkała mnie wczoraj niemłą przygoda.

PIOTR: - Mów wreszcie o co chodzi...

WOŁODIA: - Pomalutku aż do skutku... Co nagle to po diable, jak mawia moja stara,

PIOTR: - Co mnie obchodzi, co mówi twoja stara! Gadaj, co się stało?!

WOŁODIA: - Otóż, wyobraź sobie - wracam wczoraj wieczorem z imienin u Włodków i do autobusu mnie nie wpuścili. Zasuwałem więc na piechotę. A wiesz, bracie, jaki to kawał drogi. Czuję się jak na Marsie: zimno, jasny gwint, ludzi na lekarstwo, a na niebie dwa księżyce. Strasznie mi się ciężko zrobiło na duszy, zwłaszcza gdy pomyślałem o kosmonautach, że nie będą teraz wiedzieli na którym księżycu wylądować.

PIOTR: - Pal sześć teraz kosmonautów. Mów wreszcie do rzeczy!

WOŁODIA: - Czemuś ty dzisiaj taki nerwus? Skoro ci obiecałem, że powiem, to powiem, ale muszę po kolei... A więc - jak już wspomniałem - przede mną droga daleka. Przestraszyłem się, że się zmęcę, rymnę na ziemię, zasnę i umarł w butach, czyli zdechł pies! Jeszcze dobrze, jeśli mnie znajdą, żeby uczciwie pochować. I wtedy zdecydowałem się!

PIOTR: - Na co?

WOŁODIA: - Że złapię taksówkę. Czego ja nie robiłem?! Bożeż ty mój!

Ręce podnosiłem, to lewą, to prawą, darłem się na całe gardło, tak, że w sąsiedniej kamienicy wyleciał jakiś facet na balkon i ~~mnie~~ obciapał za zakłócanie spokoju nocnego.

Położyłem się wreszcie w poprzek jezdni, no i zgadnij co się stało?!

PIOTR: - Wreszcie taksówkarz się zatrzymał?!

WOŁODIA: - Staął, ale zamiast mnie zabrać, obiecał, że mnie spierze po pysku.

Wstałem więc z tej jezdni, zziąbkłem, na placz mi się zbiera...

Nagle patrzę - a na placu obok stoi człowiek i też z wyciągniętą ręką poluje na taksówkę jak ja. Ucieszyłem się więc, że we ~~dwójkę~~ dwójkę będzie nam raźniej. Zasuwa więc do niego i pytam:

- Pan szanowny też do śródmieścia?

Ale on ani słowa. Bufon - myślę, czy co?! Ciągnę go za rękę, a on nic. Czuję, że biedak skostniał z zimna, bo mróz był powyżej 25 stopni. Patrzę - facet ma szron na twarzy. Nic tylko zamarzał biedak. Pomyślałem, że i mnie to samo mogłoby spotkać i że nic tylko trzeba ratować człowieka. Wziąłem go więc na ręce i chodu. A ciężki był diabeł niesamowicie.

Dzień już się robił, gdy go doniosłem do domu. Na ostatnich nogach. Położyłem go na tapczanie, a sam udałem się do kuchni. Stoi tam u nas rezerwowe polowe łóżko, na wypadek, gdyby przyjechał ktoś z rodziny, czy znajomych i musiał przenocować. Ledwie to łóżko rozstawiłem, a tu moja stara wraca z nocnej zmiany. Zapaliła światło w pokoju i wrzeszczy...

PIOTR: - Ja też nie byłbym na jej miejscu uradowany tym nocnym gościem...

WOŁODIA: - Więc ona wrzeszczy na mnie tak: „Kogoś ty przytaszczył do domu, moczymordo zatracona?!”

PIOTR: - No i co?

WOŁODIA: - Lecę tam, patrzę, a on sobie leży... Pomnik z placu.